

Żagle *na obcasach* Elżbieta Ostrowska



Kierunek Bornholm

Grupa nieznanym sobie kobiet na ograniczonej powierzchni, świadomość, że nie można już wysiąść, szczególnie na pełnym morzu, oraz odrętwiająca, otepiająca i odbierająca chęć do życia, a przede wszystkim do żeglowania, podstępna... choroba morska.



fol. E. W. Redel



Sięgam po omacku do torebki i próbuję z niej wygrzebać komórkę. Dzwoni Kasia, proponuje spotkanie w weekend. Odpowiadam, że w najbliższy weekend jadę na babski rejs.
– Jak to babski?! – słyszę w słuchawce.
– Normalnie. Są rejsy męskie, mieszane, a ten akurat jest babski.
– A kapitan?
– Oczywiście płynię z nami.
– Całe szczęście, że chociaż jeden facet będzie na pokładzie.
– Kaśka! Przecież Ci mówię, że to babski rejs.
– O Boże!! I ty się nie boisz?!!!!

ZIARNO NIEPOKOJU

Tego dnia odebrałam jeszcze kilka podobnych telefonów, po których byłam już nieźle nakręcona, a po głowie tłukło się jedno pytanie: „I ty się nie boisz?!”. Moja wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, więc miałam już ułożony gotowy scenariusz do filmu katastroficznego, oczywiście ze mną w roli głównej :). Muszę przyznać, że propozycja wzięcia udziału w rejsie „Żagle na obcasach” bardzo mnie ucieszyła. Żeńska, nieznaną się wcześniej załoga to dla mnie całkiem nowe doświadczenie (czyt. wyzwanie). Kilka miesięcy wcześniej płynęłam dla odmiany jako jedyna kobieta w 11-osobowej załodze regatowym katamaranem przez Atlantyk na trasie N.Y–Falmouth. Było to spełnienie moich marzeń i najwspanialsza morska przygoda. Ciekawe jak będzie tym razem... Nareszcie jestem w domu. Dopadłam do komputera, odczytuję pocztę, a następnie odruchowo wchodzę na stronę *Ducha Morza*. Już sama jej ścieżka dźwiękowa, brzmienia niczym mantra,

relaksuje mnie. Biorę głęboki oddech i czytam jeszcze raz :
Kapitan: Aleksandra Piasecka (informacje o stopniach żeglarskich, posiadanych uprawnieniach i stażu ciągną się przez kilka linijek), jacht: Bavaria 38 Cruiser (uzbrojony po zęby w urządzenia nawigacyjne, genuę + grot (70 m²) z nowoczesnymi systemami rolowania oraz silnik Volvo Penta o mocy 40 KM).
Ok, jest bezpiecznie, a na dodatek luksusowo, bo doczytuję, że na pokładzie znajduje się także: ogrzewanie, odtwarzacz CD, MP3, radio i telewizor LCD + DVD. To jeszcze nic – *Duch Morza* to jedyny jacht na Bałtyku, na pokładzie którego serwowana jest do śniadania kawa z ekspresu oraz świeże, pachnące bułki prosto z piekarnika. To mnie rozbroiło.

STOPY WODY POD KILEM...

Nadszedł czas na spakowanie się i dojazd do Świnoujścia. Początkowo przymierziałam się do torby wielkości bagażu podręcznego oraz małego plecaka. Po kilku bezskutecznych próbach wyciągam wreszcie słusznej wielkości torbę i pakuję ją po brzegi. Całe szczęście, że jest na kółkach. Podróż pociągiem minęła całkiem szybko i spokojnie. Po przeprawie promowej udałam się do mariny, w której miałam odnaleźć jacht. Mam taki zwyczaj, że zanim po raz pierwszy wejdem na pokład jachtu, przyglądam mu się z dystansu. *Duch* oczarował mnie z miejsca. Pachnący nowością, wręcz dziewiczy, sprawiał wrażenie, jakby chciał uwolnić się od własnych cum i zakosztować morskiej przygody najszybciej, jak tylko jest to możliwe. Powitała mnie Aśka (pierwszy oficer), krzątająca się w kambuzie.

Po chwili pojawiła się pani kapitan, niosąc ogromny karton soków.
– Cześć, jestem Ola – przedstawiła się i posłała mi czarujący uśmiech, który nie zniknął z jej twarzy do końca rejsu. Zaraz za nią zjawiły się dziewczyny z magazynu „Shape” – Ewa i Karola, z portalu kobiety.pl Halinka i Ewa Wiktorina – fotografka. Byłyśmy w komplecie. Niektóre z doświadczeniem żeglarskim, inne wręcz przeciwnie, co na początku zaowocowało zabawnymi sytuacjami, np. podczas podziału przestrzeni we wspólnie zajmowanej kajucie rufowej, kiedy to Halinka zaproponowała Ewie: – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to ta szafa będzie moja, a ta – dokończyła, wskazując na kłapę od silnika – twoja.
– Ok – zgodziła się Ewa, a po chwili dało się słyszeć szamotanie i błagalne wołanie: „Niech mi ktoś pomoże otworzyć te drzwi!”
W zaistniałej sytuacji Ola szybko stworzyła grafik dnia:
– godz. 1600 – całkowite rozpakowanie, klar w kajutach, prysznic,
– godz. 1700 – wspólna kolacja w przemiłej restauracji, skąd w tym czasie zostały pobrane domowe i całkiem smaczne dania obiadowe na wszystkie dni rejsu,
– godz. 1830–2200 – szkolenie (m.in. po co są i jak działają wszystkie urządzenia na jachcie, jakie są zwyczaje, prawa i obowiązki, zasady bezpieczeństwa, jak wygląda postępowanie w razie zagrożenie, itd.),
– godz. 2200 – koniec dnia.
Wyrwane z za biurka, pozabawione laptopów, po całym dniu podróży (niektóre dziewczyny jechały nocą), po smacznej kolacji i kilkugodzinnym szkoleniu udajemy się na zasłużony... rejs.



Safety first



KIERUNEK BORNHOLM

Wypływamy. Przed nami cała noc żeglugi. Od tej pory nasze postrzeganie czasu przez najbliższe dni będzie wyglądało zupełnie inaczej. Morze wszystko weryfikuje. Tu i teraz tworzymy jeden organizm. Wyzwanie jest olbrzymie. Trudny i kapryśny Bałtyk, niska temperatura, deszcz, wiatr dochodzący do 7° w skali Beauforta, grupa nieznanym sobie kobiet na ograniczonej powierzchni, świadomość, że nie można już wysiąść, szczególnie na pełnym morzu, oraz odrętwiająca, otępiająca i odbierająca chęć do życia, a przede wszystkim do żeglowania podstępna CHOROBA MORSKA. Każda z nas miała swoje własne, wypracowane sposoby na radzenie sobie w tych trudnych chwilach. Ewa Wiktorja np. przyrządzała diabelską miksturę na bazie imbiru, po spożyciu której oczy robiły się jak spodki i z trudnością można było złapać oddech (co ciekawe, moc w ogóle nie wynikała z procentów). Po kilkunastu godzinach żeglugi dobiłyśmy do skalistej Christiansø, która jest jedną z kilku wysepek stanowiących maleńki archipelag Ertholmene oddalony o 10 Mm na PN-E od Bornholmu. Po zejściu na ląd wkroczyłyśmy na teren starej fortecy. Zewsząd otoczyła nas historia. Cała wyspa jest zabytkiem architektury i przyrody, jednak nie odniosłam wrażenia, że przybyłyśmy do skansenu. Christiansø jest niezwykła, w scenarii warowni toczy się bowiem współczesne życie. Na wyspie podstawowym zajęciem jest rybołówstwo sięgające swoimi tradycjami aż do średniowiecza. Wojna między Danią a Szwecją, która miała miejsce około 300 lat temu, sprawiła, że nagle Ertholmene stało się interesującym

i ważnym punktem strategicznym. Od 1725 r. twierdza była miejscem zesłania, natomiast w 1863 r. zniesiono komendanturę wojskową. Tak zamknął się ważny rozdział w historii wyspy, ale rozpoczął nowy. Chcąc nie dopuścić do zniszczenia budynków ministerstwo obrony zezwoliło, aby byli żołnierze osiedlili się tam z powrotem, ale już jako rybacy. Takie są podstawy dzisiejszej społeczności Christiansø. Zostawiając wyspę za sobą, zbliżyliśmy się do kolejnej – celu naszej podróży – Bornholmu. Północne wybrzeże wyspy jest szczególnie piękne, potężne granitowe skały osuwają się wprost do Bałtyku, tworząc niepowtarzalny pejzaż, w który malowniczo wpisuje się największa warownia północnej Europy – zamek Hammershus. Naszym celem był niezwykle urokliwy port w Allinge, który powstał w średniowieczu w niewielkiej skalistej zatoczce jako przystań rybacka. Poza niezaprzeczalnymi walorami widokowymi, jaki dawał nam masyw Hammeren wraz z ruinami zamku, port Allinge stanowił świetne schronienie przed nadciągającym sztormem, o którym nasza pani kapitan już wiedziała. W ciągu kilku godzin niewielki port zapełnił się innymi jednostkami. Nie zabrakło też jachtu pod polską banderą, którego załogę, dla odmiany, tworzyła wyłącznie płec przeciwna. W Allinge i okolicach spędziłyśmy sporo czasu. Miejscami godnymi uwagi są zbudowane kilkaset lat temu w dzielnicy portowej zabytkowe domy, XVII-wieczny ratusz oraz kościół z ok. 1500 r.

I SŁOŃCE, I DESZCZ

Szósta rano, wiatr o sile 6–7°, do tego utrzymujący się po sztormie rozkołys. Wszystkie siedzimy

w kokpicie, przypięte obowiązkowo szelkami. Ola i Aśka na zmianę za sterem. Skupione i w lot łapiące każde swoje spojrzenie, a właściwie myśl kryjącą się za nim. Odpowiedzialne, profesjonalne, a przy tym delikatne i kruche na tle żywiołu, który nas otacza. Płyniemy w deszczu. Leżę w kokpicie pod spraytopem, dzięki czemu przynajmniej w połowie jestem sucha. Zerkam na Karolę, która jest „in touch” z Neptunem, co, jak widzę, kosztuje ją sporo wysiłku. Kołysze nas i rzuca. Ewa Wiktorja zesłała pod pokład tylko w sobie znanym celu i nie pojawia się od godziny. Czyżby miała już naprawdę dość i postanowiła się otruci swoją diabelną miksturą? Mija kolejna godzina, deszcz nadal leje, choroba nadal trzyma. Jest mi naprawdę zimno. Zastanawiam się, dlaczego nie zabrałam ze sobą śpiwora? Przecież miałam tyle miejsca w mojej przepastnej torbie. Zerkam, kto stoi za sterem – Aśka. No tak, po niej moja kolej. Nie mogę tak leżeć, rozczulać się nad sobą i dygotać z zimna. Muszę się jakoś rozgrzać i przygotować do wachty. To oznacza zejście pod pokład... Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Co ja mówię, przecież już jest mi niedobrze! Moja kajuta znajduje się tuż przede mną, kingston – na dziobie. Muszę to jakoś opracować logistycznie, żeby mój biedny organizm ucierpiał jak najmniej. Udało się. Po chwili znajduję się w swojej koi, przykrywam kołdrą, kocem, nastawiam budzik i ostatnią siłą woli zasypiam. Dzwoni budzik i otwieram oczy. Morze się uspokoiło, nawet wyjrzało słońce. Jest mi ciepło, czuję się wypoczęta, z ochotą wyskakuję na pokład. Za sterem Ewa (stworzona do tej roboty). Przyglądam



fot. E. W. Redel



Duch z miejsca mnie oczarował



Allinge – w poszukiwaniu kamienia runicznego

się moim współtowarzyszkom, dzięki którym mogłam tak sobie smacznie spać... Są niesamowite. Cieszę się, że razem płyniemy. Im bliżej Świnoujścia, tym morze staje się bardziej łaskawe. Cisza, spokój, piękny zachód słońca. Świadome tego, że rejs dobiega końca, łapiemy ostatnie chwile

morskiej przygody. Po kilkunastu godzinach samotnej żeglugi pojawia się pierwsza jednostka, potem następna i następna. Lewą burtą mijam dwa okręty marynarki wojennej, które porozumiewają się morsem. Dziewczyny śmieją się, że chłopcy przekazują sobie wynik meczu (w końcu

mamy Mistrzostwa Europy). Zbliżyliśmy się do główek portu, jest duży ruch. Ola przejmuje ster. O godz. 2300, po siedmiu dniach żeglugi, dobijamy do kei. Strzela korek od szampana i po chwili szczęśliwe, odrobinę wzruszone, wznosimy żeglarski toast: „za cudowne ocalenie”. ■



Christiansø – duńskie Alcatraz



Christiansø i Frederiksø – w tle charakterystyczny wąski, obrotowy mostek, łączący dwie „groszkowe” wysepki



Porcik w Allinge – nasze schronienie przed nadciągającym sztormem / zdjęcia: E. Ostrowska